

Przepraszamy, że żyjemy

Na zarośniętych ścieżkach

Pewna organizacja ekologiczna przeprowadziła akcję przeciwko przebiegowi drogi przez obszary cenne przyrodniczo. Piszę o tym ogólnikowo, gdyż nie o nazwy mi chodzi, lecz o ilustrację zjawiska. Akcja była udana, a jej cel słuszny. Jednak w oświadczeniu prasowym można było przeczytać, że owa organizacja nie sprzeciwia się rozbudowie infrastruktury drogowej w Polsce, lecz tylko takim trasom, które niszczą bardzo cenne tereny. I w tym właśnie sęk.

Tak się składa, że znam liderów tej organizacji i jestem przekonany, iż są oni przeciwni rozbudowie dróg w ogóle. Wiedzą bowiem, że problem nie tylko w tym, iż zniszczone zostanie jedno czy kilka bardzo cennych miejsc, ale również w tym, że kolejne drogi generują ruch samochodowy, co skłania do budowy jeszcze następnych dróg. A wszystkie te drogi razem wzięte szatkują ekosystem na odizolowane i „nieefektywne” biologicznie kawałki. I jest to zagrożenie znacznie większe niż zniszczenie miejsca, w którym bytuje jeden czy kilka cennych gatunków – bo stale niszczone ekosystem w końcu zacznie wyglądać tak, że żaden bardziej „wymagający” przedstawiciel flory i fauny się w nim nie uchowa, nawet jeśli w danym miejscu nie przebiegnie akurat nowa droga.

Jednak ekolodzy wiedzą jedno, ale mówią co innego. Dlaczego? Ano dlatego, że żyją w ciągłej obawie, iż społeczeństwo uzna ich postulaty za „ortodoksyjne” czy „fanatyczne”. Nie jesteśmy przeciwko rozbudowie sieci drogowej – jesteśmy przeciwko jednej czy dwóm „złym” drogom. Zobaczcie, nie jesteśmy tacy źli, damy się lubić.

Taka postawa nie zawsze jest naganna, gdyż czasem warto trzymać język za zębami i niekoniecznie odsłaniać wszystkie karty. Ale często – zbyt często! – ekolodzy tak bardzo przejmują się tzw. opinią publiczną, że mówią nie to, co myślą, lecz to, co ktoś inny chce usłyszeć. Wprawdzie wówczas wszyscy ich akceptują, czasem nawet pochwalą („tak, tak, niszczenie środowiska to ważny problem i dobrze, że ktoś wreszcie się tym zajął”), ale sama ekologia staje się jałowa i bezpłodna, zaś jej rzeczników nikt nie traktuje poważnie.

Nic dziwnego. Jeśli ktoś w co drugim zdaniu tłumaczy się z jeszcze niepopelnionych grzechów („my naprawdę nie jesteśmy przeciwko inwestycjom i wzrostowi gospodarczemu”), to ani potencjalni zwolennicy, ani też przeciwnicy nie będą się kimś takim przejmowali. Zwolenników ktoś taki prędeż zrazi niż przyciągnie, bo tę nieszczerłość, kunktatorstwo, konformizm i grę pod publiczność widać jak na dłoni. Przeciwników nie wystraszy, gdyż trudno to zrobić zaczynając działalność od przeproszania za to, że w ogóle ją podjęto.

Spotkałem wielu ludzi, którzy mieli sporadyczne kontakty z ruchem ekologicznym, ale szybko ich zaprzestali, zniechęceni jego swoistym „rozmemłaniem”. Ci, którzy nadal traktują ekologów poważnie, na ogół oczekują od nich dokarmiania kotów, zbierania śmieci w lesie i prowadzenia w szkołach pogadank o tychże kotach i śmieciach. Ale w świetle historii ruchu ekologicznego widać wyraźnie, że najbardziej skuteczne działania w obronie przyrody nie polegały na pogadankach w szkołach, rozdawaniu smętnych ulotek i nasiadówkach z piątym zastępcą pana inwestora, lecz na głośnym, wyrazistym i odważnym wyartykułowaniu swoich oczekiwań.

Nawet jeśli społeczeństwo nie do końca rozumiało o co chodzi, to imponowała mu determinacja tych ludzi, swoje robił też nagły wstrząs, jaki dokonał się w sumieniu osób pogrążonych w letargu. Tak, moi drodzy, wszelkie poważne sukcesy w obronie przyrody wzięły się z postawienia sprawy jasno – obrońcy wielorybów taranowali statki, które poławiały te zwierzęta, obrońcy lasów przykuwali się do drzew i okupowali siedziby firm prowadzących wyrębę. A gdy dziennikarz pytał, czemu to robią,

wówczas słyszał, że kochają dzikie życie i są przeciwko jakiegokolwiek formie jego niszczenia, że mają już dość betonu, rozwoju, infrastruktury itp.

Nie chodzi o to, że ekolog powinien być zadymiarzem, który przy byle okazji buńczucznie wykrzykuje radykalne slogany i tupie nóżką bez zastanowienia. Chodzi o to, żeby poważne traktowanie opinii publicznej umiał połączyć z odwagą i gotowością obrony własnego zdania. Bo opowiadki o tym, że my nie mamy nic przeciwko autostradom w ogóle, lecz tylko przeciwko ich „złej” lokalizacji, to coś, co powinno być głoszone nie przez radykalną organizację ekologiczną, lecz przez w miarę uczciwego i rozgarniętego biurokratę z ministerstwa środowiska. Radykalnych ekologów powinno być stać na nieco więcej – także po to, by ów urzędnik czuł na plecach ich oddechy i wskutek tej presji był skłonny do mniejszej spolegliwości w negocjacjach z inwestorami i kolegami z resortu gospodarki.

Na Zachodzie ruch ekologiczny najpierw próbował działać grzecznie, spokojnie i nieśmiało, a gdy okazało się, że to nie pomaga, sięgnięto po mniej łagodne środki nacisku na decydentów i zjednywania sobie opinii publicznej. W Polsce natomiast ekolodzy uznali, że skuteczni będą wtedy, gdy przeproszą za to, że żyją.

No i przepraszają, lecz mało kogo to obchodzi.

Remigiusz Okraska